

IV/2680

Zł. Zł. Zł. Zł.  
Dzielnica I Praga  
Lublin

ANNA RESZKO, z domu KIERŚNOWSKA, ur.28.II.1899 r. w Czerniewce  
k/Nowogródka

Od 1928 r. chora na nogi, od 1934 r. wdowa, troje dzieci.

W 1940 r. w Wilnie wyrzucona z mieszkania i z pracy, zmuszona do pracy fizycznej - mimo choroby.

Od 1943 r. współpracowała z różnymi komórkami AK Okręgu Wileńskiego, przechowując ludzi, prowadząc szpital dla rannych partyzantów, udostępniając swoje mieszkanie na zebrania konspiracyjne, m.in. z Komendantem Okręgu, gen. "Wilkiem" /w 1943 i 1944 r./, Komendantem Okręgu, płk. "Pohoreckim" /marzec i czerwiec 1945 r./, przedstawicielem Delegatury Rządu, członkami Sztabu Okręgu i t.p., przechowując pocztę i dokumenty, radiostację i t.d.

Dzieci - wszystko troje w AK. Najstarsza córka Barbara - łączniczka w V bat. AK Okręgu Nowogródzkiego. Średnia córka Anna - sanitariuszka w Wilnie, więziona w Trokach i na Łukiszczach wiosną 1945 r. Najmłodszy syn Mirosław - żołnierz V batalionu AK Okręgu Nowogródzkiego.

#### Relacja własna Anny Reszko:

"Po tylu latach, jakie upłynęły od wojny i okupacji niemieckiej trudno sobie przypomnieć różne szczegóły mojej skromnej działalności konspiracyjnej podczas wojny, tymbardziej, że dziś już mam 86 lat i pamięć w tym wieku często zawodzi. Ale spróbuję. Moja działalność zaczęła się wiosną 1943 roku od zebrań chyba "sztabu", które odbyły się dwa lub trzy razy z dłuższymi przerwami. Wiem tylko, że na pierwszym zebraniu był obecny generał "Wilk". Kto mnie skontaktował z łączniczką, która te zebrania przygotowywała - dziś nie pamiętam. Wiem, że miała pseudonim "Krystyna" /Dziewulska - B.R./. Domyśliłam się, kto to jest, gdyż była bardzo podobna do swego brata, którego znałam osobiście. Ale nie powiedziałam jej o tym.

Pierwszego rannego miałam w jesieni 1943 r. za pośrednictwem dr Jagi Suszyńskiej, która miała pod swoją opieką cały rejon. Był to chłopak już na ozdrowieniu i leżał u mnie stosunkowo krótko, po czym wrócił do swego oddziału.

W tym samym czasie przechowywałam młodego Ślązaka, który był wzięty do wojska niemieckiego i leżał w ówczesnie niemieckim szpitalu w Wilnie. Nie pamiętam, czy był ranny, ale chyba tak. Ze szpitala wyciągnął go miejscowy felczer, jak to zrobił - nie wiem. Wiem jedno, że chłopaka trzeba było ukryć. Był u mnie przez kilka miesięcy, należał do jakiejś komórki konspiracyjnej i wieczorami chodził na "wyprawy". Czekalam zawsze z niepokojem, czy Franek wróci, ale zawsze szczęśliwie wracał. Był to bardzo sympatyczny i wesoły chłopak. Czasem, gdy robiłam mu wymówki za przechowywanie rewolwerów w łóżku pod materacem, odpowiadał: "Mamu-

siu, to moje żony!" Wobec tego musiałam zaniechać wymówek.

Od 1943 roku przecnowywałam też pocztę.

Pod koniec zimy 1944 r. miałam u siebie dwóch rannych. Jeden, młody chłopak, miał zdruzgotane przedramię prawej ręki, a był z zawodu stolarzem. Ktoś z lekarzy chciał mu od razu rękę amputować, ale dr Maciejewska /chirurg/ nie dała, mówiąc, że na to będzie czas i że spróbuje mu rękę uratować. I uratowała. Drugim rannym był mężczyzna po 30-ce z rozbitą rzepką w lewym kolanie. Dr Maciejewska przychodziła codziennie na opatrunki, a dr Suszyńska dostarczała mi leków i pieniędzy na utrzymanie. Chyba w maju zapadła decyzja o operacji. Umówionego dnia przyszedł profesor Michejda, dr Maciejewska i jeszcze dwoje lekarzy. No i operacja, pod narkozą oczywiście, odbyła się - chociaż w warunkach dość prymitywnych.

Mieszkałam wówczas w prywatnym drewnianym domu, w trzech małych pokojkach na poddaszu, bez żadnych wygod, gdyż w 1940 r. Rosjanie wyrzucili mnie i rodzinę mego brata ze śródmieścia. Dom stał z dala od ulicy Antokolskiej, w sporym ogrodzie, dochodzącym do wału przeciwpowodziowego u brzegów Wilii. Do mego mieszkania prowadziło osobne wejście, a obok mieszkania znajdowało się sporo skrytek, które później bardzo się przydały.

Z tego okresu pamiętam jeden bardzo przykry moment. Pewnego dnia zobaczyłam idących po wale nad rzeką żołnierzy niemieckich z psami. Gdyby przyszli do nas, koniec byłby z rannymi, ze mną i moją rodziną. Ale na szczęście do tej "wizyty" nie doszło.

Podczas pobytu u mnie rannych miałam kłopoty z rodziną gospodarza. Szwagier gospodarza domu, zresztą kapitał W.P., był okropnym plotkarzem i rozpowiadał sąsiadom, że przechowuję rannych. Gdy zrobiłam mu na ten temat ostrą wymówkę, bardzo się tłumaczył, w końcu przyznał mi rację. Na szczęście, sąsiedzi okazali się ludźmi dyskretnymi. Innym znów razem siostra gospodarza uznała, że koniecznie trzeba "pokwestować" na rzecz rannych. Ledwie ją uprosiłam, żeby tego nie robiła. Czy usłuchała - nie wiem. Mieszkał też u gospodarzy przeor klasztoru Redemptorystów i co niedziela odprawiał w swoim pokoju mszę św., na którą przychodzili różni sąsiedzi. Chciał on taką mszę odprawić w moim mieszkaniu z udziałem rannych. Zgodziłam się na to, tym bardziej, że ranni chcieli się wyświadczyć, ale pod warunkiem, że nikogo obcego do swego mieszkania nie wpuszczę. Ksiądz przeor, człowiek już stary, bardzo się tym zgorszył i był niezadowolony. Skończyło się na tym, że przysłał młodego księdza, który rannych wysłuchiwał, ale msza się nie odbyła. Dziwne, że nie orien-

tował się w grożącym niebezpieczeństwie.

W lipcu 1944 r., gdy front się zbliżał, Niemcy kazali gospodarzowi opróżnić dom. Musieliśmy wszyscy wyjść i skierowaliśmy się brzegiem rzeki w stronę Werek. Chłopak z chorą ręką już tak dobrze się czuł, że szedł z nami i nawet niósł tą ręką mały koszyczek. Drugiego rannego /nie chodził/ przewieziono kajakiem w inne bezpieczne miejsce. Nawet moją matkę staruszkę, która miała złamaną nogę, również przewieziono kajakiem aż do Werek. Tam rozłożyliśmy się w ogrodzie pod lipami u brzegów Wilii. Gdy się zaczęło ściemniać, rozpoczęła się bitwa. Niemcy siedzieli w pałacu na górcie, a Rosjanie podchodzili od strony ogrodu, gdzie myśmy się znajdowali. Znalezliśmy się pod ostrzałem z dwóch stron. Bitwa trwała całą noc. Na szczęście nikt z nas nie został ranny, ani zabity, ale tego, co wówczas przeżyłam, nie zapomnę do końca życia. W Werekach spędziliśmy kilka dni, po czym wróciliśmy do ograbionego mieszkania, z wybitymi szybam i pociskiem artyleryjskim w korytarzu /nie wybuchł/. Po powrocie do domu narazie rannych nie miałam, tylko pocztę i inne mało bezpieczne rzeczy.

W wigilię Nowego Roku, t.j. 31.XII.1944 r. w całym mieście odbywała się łapanka. Zabierano mężczyzn, przypuszczalnie do armii Berlinga. Ludzie uciekali z domów i kryli się w lesie, widocznym z okien mego mieszkania. Dzień był bardzo mroźny. Na jednym ze stryszków obok mego mieszkania musiałam ukryć ośmiu chłopców. Wejście do tego stryszku z kuchni było zabite na głucho i zamaskowane. Chłopcy czołgali się doń okólną drogą i przesiadzieli tam cały dzień, aż do późnego wieczora. Koło godz. 14-tej weszło do mego mieszkania dwóch żołnierzy, pytając, czy są tu mężczyźni. Odpowiedziałam, że nie ma. "I nie było?" Odpowiedziałam - "nie było". Wówczas zażądali dowodów osobistych. Przeczytali w dowodzie córki rok urodzenia, a "mamaszy", czyli mego dowodu nie przeglądali. Zaglądali do szaf. za piec i raz jeszcze upewniwszy się, że mężczyzn nie ma i nie było, zakończyli tę "wizytę". Dopiero późnym wieczorem wszyscy chłopcy wyszli z kryjówki i tak spotykaliśmy Nowy Rok 1945.

Pod koniec zimy 1945 r. znów miałam na przechowaniu trzech chłopaków, z których jeden był ranny w przedramię. Ponieważ rana ta bardzo m dokuczwała, dr Juszyńska orzekła, że trzeba rękę prześwietlić. Ale aby to zrobić, trzeba było dostarczyć chłopaka aż na ulicę wielką, co z dalekiego Antokola nie było rzeczą łatwą. Wyznaczonego dnia chłopak

dokładnie się ogolił, przy tym był bardzo blady. Został przebrany w strój kobiety z chustką na głowie, robił wrażenie wiejskiej kobiety. Zamówiłam poprzedniego dnia pobliskiego dorożkarza, który miał opinię zaufanego i powiozłam "kobietę chorą na płuca" na prześwietlenie. Kazałam postawić budę w dorożce, żeby "kobieta się nie zaziębiła". Stojący na placu Katedralnym milicjant bardzo się nam przyglądał, ale nie zatrzymał. Na miejscu, po dość długim czekaniu chłopak został prześwietlony i po wyjściu innymi schodami szczęśliwie wróciliśmy do domu gdzie nas z niepokojem oczekiwano. Gdy płaciłam dorożkarzowi, ten zapytał, czy kobieta ta ma dzieci. Powiedziałam, że oczywiście, ma ich aż czworo. Czy uwierzył - nie wiem. Po skończonej wojnie chłopcy ci chyba wrócili do swoich rodzin.

W czerwcu 45 mieliśmy już repatriować się do Polski, ale na cały czerwiec transporty zostały wstrzymane. W maju zaś trafił mi się chyba najbardziej "trefny" chłopak do przechowania. Jego rodzice po rewolucji zostali w Rosji i gdy on miał lat trzynaście zostali aresztowani. Ślad po nich zaginął. Jego i młodszą siostrę ulokowano w "Domu dziecka", a mieszkanie skonfiskowano. Gdy wybuchła wojna w 1941 r. wcielono go do wojska. Przeżył rzeczy straszne, był pod Stalingradem, gdzie został ciężko ranny, był kontuzjowany. Przez miesiąc nic nie słyszał i nie mówił, stracił wszystkie zęby. Leżał długo w szpitalu. Gdy wyzdrowiał, pozwolono mu pojechać na urlop. Pamiętał, że w Wilnie ma ciotkę, więc udał się do Wilna, ale tam władze wojskowe nie chciały go zameldować i poleciły, aby wracał z powrotem. Wówczas ciotka, którą odnalazł, postanowiła go zatrzymać. Przebrała go w cywilne ubranie, a u siebie nie mogła go przechować, gdyż sama była śledzona. Wobec tego chłopak trafił do mnie. Nie wychodził z domu, bo nie mówił ani słowa po polsku, poza tym miał wstawione metalowe zęby, co bardzo rzucało się w oczy. Wyrobiliśmy mu nowe dokumenty i zapisaliśmy na wyjazd do Polski. Ciotka dostarczyła mu ubranie i miała zaopatrzyć na drogę. Transport nasz miał wyruszyć 10 lipca, a lekarzem transportowym miała być dr Suszyńska. W dniu odjazdu jednak się nie zjawiała. Jak się później okazało, przyjechało do niej tego dnia dwóch oficerów NKWD, którzy prosili, by pojechała z nimi do chorego dziecka. Narzuciła więc słuchawki na szyję i w letniej sukni wsiadła do samochodu. Po chwili zamiast u chorego dziecka znalazła się w więzieniu. Potem wywieziono ją do Workuty, skąd wróciła z odmrożonymi rękami i nogami. Dziś pani doktor ma już 90 lat i mieszka w Warszawie z zamężną wnuczką. Transport nasz odszedł dopiero na drugi dzień, w czwartek. Lekarza oczywiście



nie było. Najważniejsze było przekroczenie granicy i wszelkie kontrole pasażerów. Gdy wszystko przeszło pomyślnie, odetchnęłam swobodniej, a poczułam się bardzo zmęczona. Nie mogłam całopaka zostawić bez środków do życia, języka i opieki, to też był z nami aż do grudnia 45. Dzieliłam się z nim tym, co sami mieliśmy. W tym czasie nauczył się ojczystego języka, skontaktował z jakimś swoim wujem i wyjechał na Wybrzeże. Potem zdobył fach, ożenił się z Wilnianką i zamieszkał w Warszawie. Jest to bardzo zacny i porządny człowiek, bez żadnych niepożądanych naleciałości. Do dziś nazywa mnie "mamusią" i odwiedza od czasu do czasu.

W sumie więc przechowałam dwunastu chłopaków dłużej lub krócej, jedną łączniczkę i czterech rannych. To, co robiłam, uważałam za swój obowiązek. Może wpłynęło na moją działalność to, że mój niespełna szesnastoletni syn też poszedł do partyzantki. Znajomy dowódca oddziału nie chciał go przyjąć jako małoletniego i żądał pisemnego pozwolenia, ode mnie. Syn mój powiedział mi, że jeśli pozwolenia nie dam, to on i tak pójdzie. Dałam więc to pozwolenie, gdyż uważałam, że nie mam prawa być szczęśliwszą matką od tych matek, których synowie giną na wojnie. Wojna jest dla wszystkich.-"

/-/ Anna Reszko

adres cukierni  
Barbara Reszko  
ul. Żłota 81 - 62  
00-819 Warszawa.

© ARCHIWUM WSCHODNIE